Letni leksykon płyt zapomnianych część 2

Kontynuujemy nasz letni leksykon płyt zapomnianych. Wakacje sprzyjają nie tylko wypoczynkowi, ale także uzupełnianiu wiedzy. Dlatego dajmy szansę dźwiękom, które dotąd brzmiały obok nas, ale często poza naszą świadomością.

Michał Dziadosz

Iris *Crossing the Desert* (1996)

Dla garstki najbardziej zagorzałych fanów rocka progresywnego, koneserów i kolekcjonerów ten krążek jest czymś oczywistym. Dla pozostałych słuchaczy – już nie. Niemal zawsze się tak dzieje z albumem bez wokalu. Zdecydowanie szkoda, bo płyta znakomita.

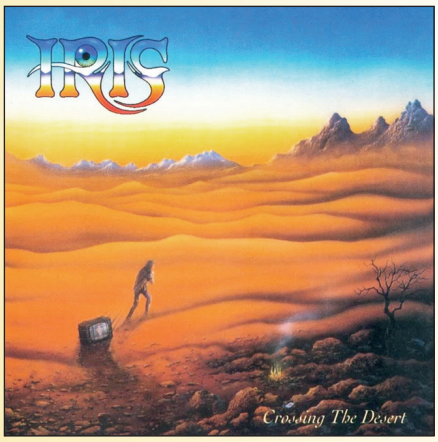

Jest efektem współpracy francuskiego gitarzysty i klawiszowca Sylvaina Gouvernaire'a z sekcją rytmiczną… Marillion. Brytyjska grupa miała wówczas przerwę po zamknięciu kontraktu z EMI, więc jej członkowie brali udział w projektach pobocznych. Tak się akurat złożyło, że grający na perkusji Ian Mosley i basista Pete Trewavas postanowili zrobić coś, w czym naprawdę mogą się wyżyć. Francuz skorzystał z niesamowitej szansy zagrania ze swoimi idolami, choć sam także nie wziął się z ulicy. Wcześniej liderował zespołowi Arrakeen. Poza tym to ogromna muzyczna głowa i wrażliwy człowiek.

Ową wrażliwość najlepiej słychać w lirycznych fragmentach „Crossing the Desert". Jest ich niemało, choć album opiera się na wielowątkowych minisuitach, które rozwijają się dostojnie, a kończą na szalonej jeździe. Jak gra sekcja rytmiczna Marillion – nie będziemy omawiać. Tutaj słyszymy znacznie więcej nietypowych przejść i ciekawego metrum niż w macierzystym zespole. Robi się nieco jazzowo, choć bez przesady, ponieważ pozostajemy w barwnym świecie progresywnego rocka.

Sylvain Gouvernaire jest trochę zapatrzony w Steve'a Rotherego z Marillion, ale gra po swojemu. Jako gitarzysta prezentuje bogatą paletę możliwości. Warto jednak zaznaczyć, że przede wszystkim myśli o muzyce, a nie o tym, jak szybko przebierać palcami. Tworzy ciekawe pejzaże, wzbogacając kompozycje przestrzennymi, ambientowymi brzmieniami instrumentów klawiszowych.

To fantastyczna i niemal całkiem zapomniana płyta. Choć już w latach dziewięćdziesiątych mało kto wiedział o jej istnieniu.

Japan *Gentlemen Take Polaroids* (1980)

Gdyby nie fakt, że kiedyś znalazłem winylową wersję tego albumu na śmietniku (w idealnym, nieodpakowanym stanie), nigdy bym nie pomyślał, że może być rozpatrywana w kategoriach „zapomnianych". Kiedy jednak pomnę na ten smutny fakt, natychmiast włącza się instynkt obronny i chęć niesienia kaganka oświaty.

To absolutna klasyka new romantic i jedna z podstaw popu lat 80. XX wieku. W roku 1980 lider grupy – David Sylvian – wyznaczał trendy, łamał schematy i prowokował androgenicznym wizerunkiem, chętnie zrzynanym później przez samego Davida Bowie. Muzycznie była to mieszanka estetyki syntezatorowej (królem klawiszy był, obsługiwany przez Richarda Barbieri, Prophet 5, co słychać na całym albumie), bardzo wyrazistych rytmów (Steve Jansen!), wiercącego basu Micka Karna i ciekawych harmonii gitarowych Roba Deana.

Nic dodać, nic ująć. Porywająca i poetycka muzyka.

Kim Wilde *Close* (1988)

Wbrew pozorom, Kim Wilde to nie przebrzmiała blondyneczka z lat 80., która miała parę przebojów, kiedyś była

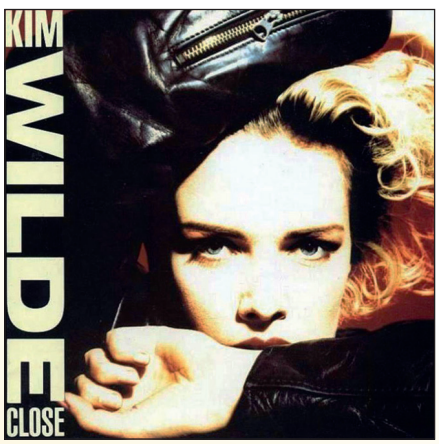

ładna, a teraz przytyła. To przede wszystkim magnetyczna postać, która potrafiła zgromadzić wokół siebie bardzo zdolnych pomocników i uzyskać dobry efekt, a do tego dysponowała naturalną muzykalnością i subtelną wrażliwością. Jeśli ktoś nie lubił Sabriny Salerno i jej biustu, delikatna Kim Wilde była dla niego. Sam muszę przyznać, że to właśnie na niej wykształcił się mój ideał kobiecości oraz fakt, że zdecydowanie wolę anielice od diablic.

„Close" została nagrana na Mitsubishi X-850 – najbardziej wówczas wypasionym, 32-śladowym magnetofonie cyfrowym, w dodatku w superstudiu, z udziałem świetnych instrumentalistów. Stanowiła szczyt ówczesnych możliwości realizacyjno-technicznych. Muzycznie jest tu europejsko, klimatycznie i swobodnie.

Płyta nie ma słabych momentów, jedynie mniej lub bardziej melodyjne. W tych pierwszych pojawia się niemiłosiernie przebojowy groove. Przeplatają się wątki wyciszające i energetyczne. A wszystko spaja ona. Subtelnie szumiący, ale niebezpieczny wodospad estrogenów. Ubrana w zadziorną ramoneskę blond-rusałka. Dziś już się takie nie rodzą…

Laboratorium *Quasimodo* (1979)

Zdarzają się wydawnictwa, które, niezależnie od kontekstu, porywają od pierwszego dźwięku. Takim przypadkiem jest „Quasimodo".

Płyta pojawiła się w bardzo specyficznym momencie historii. Z jednej strony, łaskawym dla sztuki sensu largo: otwarcie środowisk myślących na abstrakcję, płynnie podporządkowywaną kategoriom akademickim, było wówczas bardziej oczywiste niż kiedykolwiek wcześniej i później. Z drugiej – siermięga czasów boleśnie sprowadzała na ziemię. Ta muzyka nie dawała się jednak sklasyfikować ani podporządkować.

Mamy tu do czynienia z przepiękną, tłustą i bogatą, a jednak lotną i przestrzenną odmianą elektrycznego jazzu. Cudne dialogi warstw, brak nieuzasadnionych popisów, kolorystyka zachodzącego słońca, kąpiącego świat w czerwonym złocie. Pat Metheny jeszcze wtedy tak nie grał.

To światowe i ponadczasowe wydawnictwo! Nieskażone kontekstami ani geopolityką. Wielu z Was tę płytę zna. Ale jeśli ktoś interesuje się jazzem „tylko trochę" i ten gatunek ogranicza się dla niego do kilku popularnych albumów, powinien sięgnąć po ten. Czeka go wspaniała letnia przygoda.

Mancu *Wyprawy* (1992)

Dobry to był zespół i wielkie miał aspiracje. Jak na tamte czasy, brzmiał oryginalnie i znakomicie. W późniejszym okresie działalności, jako jeden z nielicznych w Polsce, zatrudniał specjalistów z Zachodu i tamże nagrywał, by płyty brzmiały jeszcze lepiej. Warto jednak zaznaczyć, że „Wyprawy" powstały w Polsce, pod czujnym okiem Leszka Kamińskiego.

Romantyczne, ale i niebanalne teksty o tęsknocie za lepszym jutrem, miłością, wolnością, o pięknie i tajemnicy, odziane w przestrzenną i klimatyczną muzykę, sprawiały, że na Mancu od razu zwracało się uwagę.

Niestety, kontekst epoki był mało sprzyjający. Wtedy każdy chciał być twardzielem. W odpowiedzi na mafijno-dresiarski świat disco polo radykalizowała się też muzyka rockowa. Dla romantyków nie było miejsca. Dodatkowo, dziennikarze sklasyfikowali Mancu jako „zespół dla mrocznych dziewczynek". W konsekwencji grupa za swą ciężką i udaną pracę otrzymywała noty w stylu trzy na pięć oraz niezbyt pochlebne recenzje. Rzadko kto zwracał uwagę, że muzyka stanowi inteligentną syntezę nowofalowej sekcji, w której zdyscyplinowana perkusja łączy się z rozmarzonym fretlessem Radka Łuki. Oraz że mimo bardzo konkretnej motoryki, nie brakuje tu miejsca na wysmakowane dodatki, przestrzenną gitarę i klimatyczny głos Krzysztofa Łebskiego.

Pamiętam, że Mancu określano jako dziwaczny pop, nieudolnie inspirujący się U2. W takim klimacie trudno było tworzyć sztukę. Na nic pociecha, że na Zachodzie ktoś tę muzykę zauważył. Na przykład w radiu France Internationale „Wyprawy" były raz płytą tygodnia. Do nas docierały ledwie strzępki informacji. Niestety, nie wystarczyły, by grupa zyskała popularność.

I tak, po dwóch płytach – omawianej oraz „Twój wstyd" (1994) – zespół zakończył działalność. Szkoda, bo na tle ówczesnej polskiej sceny był zjawiskiem wyjątkowym.

Noon *Bleak Output* (2000)

W świecie polskiego hip-hopu Mikołaj Bugajak to postać dobrze znana. Jednak poza tym kręgiem ksywka Noon może mówić niewiele.

„Bleak Output" warto znać, nawet jeżeli z hip-hopem nie jest nam specjalnie po drodze. To instrumentalna pozycja z muzyką producencką. Twórca bardzo dokładnie zgłębiał świat płyt winylowych, poszukując pasujących brzmień, by potem móc pożyczyć „cząstkę drgnięcia idealnego" i umieścić ją w swoim kolażu. Czasem tego jedynego, perfekcyjnego sampla szukał przez

pół roku. Później, z owych znalezionych dźwięków, tworzył nową całość. I to jest najlepszy moment, by zaznaczyć, jak bardzo producenci aspirujący do poziomu Noona muszą się zanurzyć w różną muzykę.

Na albumie oglądamy barwny, analogowy świat brzmień ciepłych, okrągłych i nastrojowych. Nie brakuje typowych dla hip-hopu groove'ów, ale jest też wiele miejsca na ambient.

Płyta niemal bez słów. Czasem tylko jakiś głos odezwie się na chwilę, pośród gęstwiny winylowych trzasków.

Od premiery w 2000 roku minęło osiemnaście lat. Może więc właśnie teraz warto włączyć tę pozycję do swojej płytoteki. W końcu to osiemnastka.

Ozric Tentacles *Jurassic Shift* (1993)

Zespół powstał w pierwszej połowie lat 80. XX wieku w Wielkiej Brytanii i jest absolutnie wyjątkowy.

Od początku konsekwentnie nie korzysta z wokalu. Działa poza systemem. Nie współpracuje z wielkimi koncernami fonograficznymi; nie dorobił się przeboju. Ma jednak wiernych fanów na całym świecie. I było tak, zanim pojawił się internet.

Można by powiedzieć, że szaleni Brytyjczycy grają rock progresywny, ale tak

naprawdę to niezbyt tradycyjna pod względem doboru instrumentów forma bardzo nowoczesnego jazzu. Bo cóż z tego, że brzmienia są charakterystyczne dla art rocka, skoro forma pozostaje otwarta i zwariowana? Często uciekająca w improwizację oraz nietypowe zabiegi.

Z bardzo bogatego repertuaru grupy (od 1989 roku wydali piętnaście albumów) trudno wybrać konkretną pozycję. Na początek jednak niezłym pomysłem wydaje się „Jurassic Shift" z roku 1993. Mimo że późniejsze płyty były coraz staranniej realizowane, muzycznie właśnie ta powinna zachęcić do dalszego zagłębiania się w twórczość zespołu. Na tle „The Hidden Step" (2000) czy „Swirly Termination" (2000) wydawnictwo brzmi surowo, ale dźwięki tu zawarte są młodzieńcze i porywające.

Gdyby chcieć siłą tę muzykę gdzieś ulokować i najprościej wytłumaczyć jej charakter, pokusiłbym się o stwierdzenie, że jest to prostsza, bardziej przestrzenna i melodyjna odmiana jazzu wykonywanego przez Allana Holdswortha. Czyli nie znajdziemy tu złamanych harmonii, za to równie zwariowane metrum i niekonwencjonalne myślenie. Ozric Tentacles znacznie chętniej uciekają też w orient, instrumenty etniczne oraz niezwykłe dialogi, np. fletu z gitarą solową. Perfekcyjna płyta na letnie melanże.